

„Taka będzie Rzeczpospolita...”

tygodnia

ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 94 Poznań, 4 VIII 1963 Rok III

Konieczność zapewnienia ścisłych więzów szkoły z życiem, większego zaangażowania szkoły w sprawy naszej współczesności nie ulega już dziś na ogół wątpliwości. Są wprawdzie jeszcze tacy, którzy chcieliby odsunąć szkołę w zaciśnię, w którym spokojniutko wpajano by młodzieży tzw. „obiektywne” prawdy i „neutralne” wiadomości, ale są oni w zdecydowanej mniejszości. Trzeba się jednak takim, istniejącym jeszcze tendencjom przeciwstawić... „Wyzwolenie bowiem z zaangażowania się w walkę społeczną i obdarzenie spokojem oznacza w hierarchii ważności. Za ten spokój zapłaciłaby szkoła utratą swego znaczenia” — jak pisał nasz znakomity pedagog Bogdan Suchodolski („Wychowanie dla przyszłości”).

Rzecz jasna nie chodzi tylko o samo „znaczenie” szkoły, lecz głównie o jej rolę w naszym życiu, o to jakie ideały wpaja ona młodzieży, do jakich zadań ją przygotowuje.

Stąd potrzeba nie tylko wpajania młodzieży pewnej ilości wiadomości, lecz także objaśniania i komentowania ich, celem pokazania, czemu służy nauka, jak za jej pomocą, człowiek przekształca świat, i co tym sposobem zyskuje. Idzie o zapewnienie nierozrwalnego związku między nauczaniem i wychowaniem. Między tymi procesami nie tylko nie ma sprzeczności, lecz po prostu, trudno sobie wyobrazić jeden bez drugiego, zwłaszcza wobec rosnących stale zadań szkoły, wobec zmieniającego się i coraz bardziej różnorodnego zapotrzebowania społecznego na naukę. To zmieniające się i rosnące zapotrzebowanie, pozornie stwarzające potrzebę stałego rozszerzania programów, rozbudowywania ich w sensie ilościowym. Taki kierunek zaprowadziłby nas szybko w ślepi uliczki, bowiem istnieje przecież jakaś granica chłonności młodych umysłów, przynajmniej na obecnym etapie, w istniejących warunkach i przy stosowanych metodach nauczania (często już mocno tracących myślną).

Ale to tylko pozory; chodzi raczej o przebudowę programów w sensie jakościowym, chodzi o rezygnację z treści starych, przestarzałych na rzecz nowych, współczesnych, lepiej sprzyjających rozumieniu współczesnego świata, bardziej pomagających w życiu, pobudzających wyobraźnię. Wiele zaś jeszcze w programach szkół wszelkich typów różnego historycznego balastu, różnych przerosłów, z których można bez najmniejszej szkody, zrezygnować, na ich zaś miejsce uczyć czegoś innego.

W tych dniach prof. Włodzimierz Zonn pisał np. o potrzebie uczenia już w szkole średniej rachunku prawdopodobieństwa czy teorii względności i trudności realizowania takiego postulatu widział nie tyle w niemożności przyswojenia takich zagadnień młodzieży, ile w nauczycielach, którzy będą się opierali takiemu

dotychczasowemu wysiłkowi. Pisał o tym nie bez racji, istotnie bowiem nauczyciele stanowią główne ogniwo wszelkich poczynających reformacyjnych w naszej szkole. Oni sami zresztą, bez nowych programów, bez wielkich reform mogą wiele zrobić na rzecz uwspółcześnienia obecnych programów, nasycenia ich współczesnymi treściami, zbliżenia do życia, do aktualnych spraw, poprzez swój komentarz, wyjaśnienie, poprzez samodzielne, twórcze wychodzenie poza podręcznik, poza program. Niestety nauczyciele za bardzo nastawieni są na samo wpojenie wiadomości podręcznikowych, za mało natomiast na ich objaśnienie. Taki stosunek nie sprzyja bynajmniej rozwojowi elementu wychowawczego w nauczaniu.

Aktualne zaś zadania szkoły to przede wszystkim takie jej zmodyfikowanie, by nauczanie z wychowaniem było splecione silnym węzłem, by kierunek tych obu procesów odpowiadał dokładnie celom budownictwa socjalistycznego. Zmiany w szkole dokonują się systematycznie, wystarczy wspomnieć o stopniowym realizowaniu reformy szkolnej, która m. in. zapewni wszystkim obywatelom naszego kraju obowiązkowe 8-letnie nauczanie w szkole podstawowej. Idzie jednak nie tylko o powszechność 8-latkę, nie tylko o większy zasób wiadomości, wpojonych w młode umysły. Idzie o zwiększenie akcentu na słowo „wychowanie”, w tej bowiem dziedzinie zmiany następują zbyt wolno.

Problemy XIII Plenum

Wskazał na to na XIII Plenum Władysław Gomułka:

„Chodzi także o dokonanie takich przeobrażeń w praktyce szkolnej, w organizacji i metodach pracy z młodzieżą, aby całokształt poczynających nauczycieli i młodzieży sprzyjał umacnianiu więzi młodego pokolenia z partią, z wysiłkiem klasy robotniczej i najlepszymi siłami narodu, tworzącymi nowe wartości, podstawę dalszego rozwoju naszej Ojczyzny. Dopiero taka atmosfera sprzyjać będzie wychowaniu młodzieży wszechstronnie rozwiniętej, zaangażowanej społecznie, aktywnej i twórczej, rozumiejącej znaczenie dokonywanych przemian w Polsce i gotowej do kontynuowania rozpoczętego dzieła rewolucji.”

A przy realizacji tego zadania nie można czekać na ustawy czy dekrety, nie załatwiać tej sprawy programy szkolne czy plany; tu zdecydowanie praca i zaangażowanie wszystkich pracujących w szkole i odpowiedzialnych za jej ideowe oblicze: nauczycieli, organizacji młodzieżowych — ZMS, ZMW, ZHP — i organizacji partyjnych. Oni przede wszystkim kształtują postawy młodzieży wobec tego wszystkiego, co się w naszym kraju dokonuje i od nich zależy jakie będziemy mieli nowe pokolenie. Stara to zresztą prawda, którą znali już Polacy przed wiekami, gdy mawiali: „taka będzie Rzeczpospolita, jakie jej młodzieży chowanie”.

W warszawskim powstaniu

Są te „Wspomnienia” —, stanowiące udany przykład połączenia własnych wrażeń i refleksji z analizą ówczesnych dokumentów i prasy powstańczej, bardzo cennym przyczynkiem do poznania dziejów tej wielkiej polskiej tragedii jaką było Powstanie Warszawskie. Pułkownik Józef Sek — Małecki, stary działacz KPP i PPR, w dniu wybuchu walk zastępca szefa Sztabu Dowództwa Głównego AL, ocenia w swych „Wspomnieniach” powstanie tak jak je widzieli znajdujący się wówczas w Warszawie działacze obozu lewicowej rewolucyjnej. Warto tu podkreślić, że w bardzo już licznej literaturze wspomnieniowej o Powstaniu Warszawskim książka Seka-Małeckiego jest pierwszą pełniejszą próbą jego oceny, jaka wyszła spod pióra działacza PPR i dowódcy AL, gdyż „Chłopcy z naszego miasta” Bożeny Puchalskiej i „Ludzie z innego świata” Edwina Rożubirskiego dotyczą tylko poszczególnych fragmentów walk na barykadach.

Wybuch Powstania zaskoczył warszawskie dowództwo AL. Pisze o tym wyraźnie p. Sek-Małecki, podkreślając, że jeszcze 30 lipca na odprawie oficerów sztabu wykluczono możliwość wszczęcia walk w mieście. Dając taką ocenę sytuacji, dowództwo Okręgu Warszawskiego AL brało pod uwagę dwa czynniki: stabilizację sytuacji na froncie wschodnim, w której wyniku w Warszawie i okolicach nastąpiła koncentracja poważnych sił Wehrmachtu i SS oraz niezawiedzenie przez KG AK o przygotowaniach do powstania AL i innych demokratycznych organizacji wojskowych. „Przecież te siły stanowią w samej Warszawie, skromnie licząc, kilka tysięcy uzbrojonych ludzi. Jakież dowództwo mogłoby się ich wyrzec przygotowując powstanie” — cytując Sek-Małecki wystąpienie mjr. Stanisława Nowickiego „Felka”, szefa Wydziału Propagandy Dowództwa Głównego AL.

Jednakże Komenda Główna AK i Delegatura Rządu zdecydowały się wywołać powstanie mimo nadzwyczaj niepomyślnej sytuacji strategicznej. Zdecydowało tu dążenie do uchwycenia za wszelką cenę władzy, zaszachowania działalności PKWN przeciwko któremu prasa AK i Delegatura wszczęła już pełną nienawiści kampanię. Na to, że KG AK i Delegatura chciały nadać Powstaniu wyjątkowo polityczny, zdecydowanie wsteczny charakter zwraca także uwagę w wydanych w Paryżu w 1962 r. wspomnieniach p. Seka-Małeckiego, który reprezentował Naczelne Dowództwo WP na Zachodzie w waszyngtońskim Komitecie szefów sztabów państw alianckich. Ale w Powstaniu wzięła udział od pierwszych jego chwil ogromna większość mieszkańców Warszawy. Fakt ten przekreślił plan Bora i Pełczyńskiego utrzymania powstania w ramach demonstracji zbrojnej. Zapoczątkowana 1 sierpnia 1944 r. o godzinie 16 (godzina „W”) walka zamieniła się w masową i uporczywą trwającą dwa miesiące bitwę o Warszawę. Nie zdołała ona wprowadzić ani o chwilę przyspieszyć wyzwolenia stolicy sprawiła jednak wiele kłopotów hitlerowcom i przeszła do historii Polski jako trwały przykład bohaterstwa i ofiarności bez granic.

Członkowie warszawskiej organi-

*) Józef Sek-Małecki „Armia Ludowa w Powstaniu Warszawskim — Wspomnienia”. Warszawa Iskry str. 222. Zdjęcia dokumentalne.

zacji PPR i AL od pierwszej chwili wzięli udział w Powstaniu organizując własne oddziały lub stając do walki w oddziałach AK. Obok warszawskich batalionów AL walczyli od 1 sierpnia na Woli, Żoliborzu, Starówce i Śródmieściu kompanie Polskiej Armii Ludowej gen. Skokowskiego i Korpusu Bezpieczeństwa p. „Doliwy” (Leona Korzeniaka). Obradująca 4 sierpnia na Starym Mieście narada działaczy PPR i RPPS-Lewicy potwierdziła słuszność spontanicznego udziału lewicy w Powstaniu.

Na stronach recenzowanej książki Sek-Małecki rozwija powstającą epopeę oddziałów AL. Będzie tu o bronie barykad na Woli w pierwszym tygodniu sierpnia, wspaniały udział dwu batalionów AL w bojach o Starówkę zaznaczony zdobyciem przez „Czwartaków” „Czerwonego Domu” i kościoła NMP. Śródmiejska kompania AL porucznika „Leszka” (Jana Szubelskiego) złożona przeważnie z b. milicjantów RPPS broni zbiegu ulic Frascati i Nulli uniemożliwiając Niemcom wdarcie się w głąb opanowanego przez powstańców Śródmieścia. „Czwartacy” Rożubirskiego odnośną jeszcze po przebiegu kanałami do Śródmieścia niejedyn sukces w walkach o Aleje Jerozolimskie.

Na barykadach Powstania zmieniał się stosunek żołnierzy AK do AL. Z pełnego nieufności, jaki przejawiali wobec AL-owców w pierwszym tygodniu walk wolskie oddziały AK, przekształcił się w braterską przyjaźń okrzepłą we wspólnych zmaganiach na reductach Starówki, Śródmieścia, Żoliborza. Zdecydowało o tym m. in. uznanie dla bojowych zalet oddziałów AL, które nie ustępowały w niczym najlepszym batalionom harcerskim. Musiała dać temu wyraz nawet KG AK odznaczając dwóch oficerów AL Krzyżami Wirtuti Militari, a szereg żołnierzy i oficerów Krzyżami Walecznych.

Z inicjatywy PPR powstały w toku Powstania Połączone Siły Zbrojne — obok PPR — weszły: Centralny Komitet Ludowy, Rada Obrony Narodu i Centralny Komitet Młodzieży. Pozyskanie dla idei Polski Ludowej organizacji reprezentujących szeroki wachlarz ugrupowań demokratycznych, socjalistycznych i syndykalistycznych stanowiło poważny sukces polityki PPR.

Sek-Małecki pisze z uznaniem o tych dowódcach AK, którzy — jak p. „Wachnowski” (Karol Ziemiński) na Starówce, czy ppłk „Stawbor” (Jan Szczurek) w Śródmieściu — odnosili się przychylnie do AL, kierując się tu wyłącznie podyktowanymi przez patriotyzm zasadami żołnierskiej lojalności. Również w postępowaniu właściwego dowódcy Powstania gen. bryg. „Montera” (Antoniego Chruściela) brały nieraz górę patriotyczne pobudki. Nie potrafili się oni jednak wyrwać z kręgu polityki „Londynu” i spod nacisku propagandy BiP. Toteż gen. „Monter” odrzucił wysuniętą 2 września przez Dowództwo Połączonych Sił Zbrojnych propozycję podjęcia natarcia ze Śródmieścia na Czerniaków w celu połączenia się z walczącymi tam oddziałami I Armii WP.

„Armia Ludowa w Powstaniu Warszawskim” to książka, która nie tylko rozszerza naszą wiedzę o dniach Powstania, ale także skłania do zawsze aktualnych refleksji i przemyślań.

Zachód słońca nad Jeziołem Wiskim



CAF — fot. Olszewski

KAZIMIERZ MLYNARZ

Dwa filmy — dwie postawy

Oba filmy powstały stosunkowo niedawno. Oba krótkie: ich projekcja trwa zaledwie kilkanaście minut. Jeden wyszedł spod rąk zawodowca, drugi powstał sposobem amatorskim, łączy je jednak podobieństwo tematu, dzieli zaś — niemal wszystko. Jeżeli więc decyduje się na zestawienie tak bardzo przeciwstawnych obrazów, to nie dla wywołania zażargu zawodowców z amatorami, działającymi, przecież mi dwu różnych płaszczyznach. Chodzi mi zupełnie o coś innego: o wykazanie, w jakim stopniu zaangażowanie, względnie jego brak decydują ostatecznym kształcie dzieła i to niezależnie

nie od środków, jakimi dysponuje twórca.

Jerzy Ziarnik należy bez wątpienia do czołówek naszych dokumentalistów. Zrealizował już kilkanaście filmów krótkometrażowych, z nich wyróżniły się przede wszystkim dwa: „W kręgu ciszy”, poświęcony olsztyńskiej pantomimie głuchoniemych oraz „Powszedni dzień gestapowca Schmidta”, przedstawiający przy pomocy amatorskich zdjęć rejestr codziennych czynności szeregowego pracownika hitlerowskiego aparatu zbrodni.

Niestety, do swego kolejnego filmu „Ziemia Wielkopolska” nie miał Ziarnik od początku szczęśliwej ręki. Po pierwsze: jął się tematu, którego „nie czuł”, który go nie grzał, nie ziębił. Po drugie: nie zadał sobie większego trudu przy gromadzeniu materiału archiwalnego i ikonograficznego. Zastrzeżenia budzi przede wszystkim błędna koncepcja filmu, wyrażająca się w zbożnej chęci powiedzenia zbyt wielu rzeczy naraz. Utwór nabrał przez to znamion powierzchowności i krańcowego zubożenia, stał się nudną an-

tologia obiegowych opinii i faktów, związanych z Wielkopolską: że kolebka państwa, że pruska niewola, że wóz Drzymały i wrzesińskie dzieci, a także że Wielkopoleanie z wszelkich możliwych ludzkich cnót umiłowali sobie szczególnie oszczędność i pracowitość — co dał Boże, amen. Tak więc w swojej warstwie informacyjnej film z pewnością nie odkrywa Ameryki, podaje do powszechnej wiadomości to, co nie budzi najmniejszej wątpliwości i co przeciętny mieszkaniec naszego kraju wiedział już na podstawowym stopniu edukacji.

Z ekranu w pewnym momencie pada takie oto zdanie komentarza: „Ta ziemia jest ciągle jeszcze zbyt mało znana”. Gorzka to prawda, ale i nie najnowsza. W każdym razie po obejrzeniu filmu Ziarnika problem pozostaje nadal otwarty.

Romuald Zielażek należy do grona poznańskich filmowców — amatorów. Określenie amator odnosi się oczywiście nie do poziomu, lecz tylko do sposobu produkcji, który wy-

znacza przede wszystkim i eksponuje moment osobistego ryzyka: artystycznego i finansowego. Filmowiec-amator rozlicza się nie z państwem, lecz z własną kieszenią, tworząc nieraz mimo to dzieła doskonałe, czego najlepszym dowodem „Moja ulica” Zielażka, nagrodzona najwyższą premią na festiwalu amatorów w Inowrocławiu, tzw. Złotą Misią Wieża. Doskonałość obrazu Zielażka wynika przede wszystkim z wyboru rozsądnego tematu, całkiem jednoznacznie określonego w tytule utworu. Zielażek potrafił tu zachować szczególną odrębność, właściwą twórczości amatorskiej, nastawionej głównie na dokumentalną rejestrację świata w którym żyjemy. Poza tym realizator uniknął w „Mojej ulicy” błędów spotykanych nierzadko w innych jego filmach: stwarzania pozorów głębi na scenariuszowych mieliznach, taniutkiego a naiwnego psychologizowania, prezentowania aktorów, którzy aktorami nie są, są tylko amatorami i grają po amatorsku w najgorszym tego słowa znaczeniu. Nie ma bowiem nic gorszego w sztuce filmowej nad mariaż banalnego scenariusza z banalnym ak-

torstwem. Rodzi się wtedy twór dziwny, swoista odmiana teatru cieni, gdzie ktoś się porusza i coś się dzieje, ale nieuzupełnione wiadomo dlaczego, chyba tylko dla wyłącznej uciechy samych realizatorów. Można taki obraz prezentować w gronie rodziny i przyjaciół, objaśniając go komentarzem na żywo: o, patrzcie, tu stoi Kizia, obok siedzi ja, a tam szczeka piesek sąsiadki.

„Moja ulica” podtrzymuje i rozwija dobrą tradycję wcześniejszego filmu Zielażka, zafuturowanego „Stacja”. „Moja ulica”, to reportaż z ulicy Rybaki, w krótkich migawkach opisujących życie domów i ludzi. Dokumentalna formuła stanowi tu jednak zaledwie punkt wyjścia. W miarę oglądania filmu ogarnia nas tkliwość i bezmierne wzruszenie: spiętrzenie kolejnych obrazów daje nam jakieś cudowne połączenie brzołoty, powszedniości i romantyzmu. Kamera spogląda na świat z czułością, nieledwie pięści szare, od rapane mury, wąskie okna i ukazujących się w nich ludzi. Dzieje się coś

Dokończenie na str. 2

„RAKIETA” STARTUJE Z MOSKWY

Propozycja była nęcąca — podróż autentyczną „Rakieta”, co prawda nie kosmiczną, lecz pasażerskim statkiem z podwodnymi skrzydłami.

Trasa — też nie była jaka: zwiedzenie moskiewskiego węzła wodnego — Portu Pięciu Mózg i magistrali łączącej Moskwę z Wołgą.

Odpłynęliśmy, a może lepiej: wystartowaliśmy z tzw. Portu Południowego i „Rakieta”, wyposażona w dwa potężne silniki, prawie od razu rozwinęła szybkość ponad 60 km/godz. Dziwnie to uczucie — obserwować z pokładu statku, jak w tyle po zostają wyprzedzane przez nas samochody, mknące po nadziemnym bulwarze.

Ale chyba nie to w owej podróży było najbardziej interesujące. Trzeba na wstępie odnotować informacje, jakie mi przedstawił kierownik Wojażerskiej Żeglugi Rzecznej — K. Korotkow. Z jego słów wynika,

że w najbliższych tygodniach ze stocznicy w Gorkim — gdzie dla radzieckich rzeźb zbudowano dotychczas m.in. 24 „Rakiety” — przekazane zostaną do Gdańska dwa silniki dla budowanych w Polsce po raz pierwszy, „wodołotów”.

Te jednostki, które wypłyną na Odrę, na Zalew Szczeciński, łącząc Szczecin ze Swinoujściem, otrzymają właśnie takie same „rakiety” motory.

„Rakieta”, to pierwsza próba budowy „latających statków” podjęta w ZSRR. Są to jednostki niewielkie, przystosowane do krótkich rejsów, zabierają kilkadziesiąt osób. Obecnie buduje się już większe, szybsze „Metyory”, zabierające 150 pasażerów i rozwijające prędkość 70 km/godz. oraz „Mewy” — przystosowane do długich tras i których szybkość, dzięki silnikom odrzutowym, przekracza 120 km/godz.

Wszystkie te „latające statki” z podwodnymi skrzydłami, to dzieło stoczników z Gorkiego. W naszej podróży, trwającej prawie cały dzień spotkałyśmy też wiele innych jednostek o „zwykłym”, śrubowym napędzie.

Ruch na rzece Moskwie, na kanale łączącym Moskwę z Wołgą oraz na samej Wołodze — ogromny. Statki idą w konwojach, szybkość dość duża, mimo 11 śluz, które trzeba „pokonać” na tym szlaku.

Najwięcej mijanych przez nas statków płynęło z ładunkami do stolicy.

Duże wrażenie zrobiła na mnie karawana — 15 barek wypełnionych stojącymi obok siebie nowiutkimi „Wołgami”. To kolejny transport taksówek dla stolicy z fabryki w Gorkim.

W tej chwili prawie 20 procent wszystkich towarów dostarczanych do Moskwy i stąd wywożonych kieruje się drogą wodną. Ostatnio zapadły decyzje o budowie następnych stołecznych portów i odnog kanału, aby procent ten zwiększyć, co najmniej do 40.

Jest to możliwe, dzięki wybudowaniu w latach 1932—1937 „Kanału im. Moskwy” liczącego 128 km i łączącego stolicę z tzw. zbiornikiem Rybińskim i Uglińskim na Wołodze. Rzeka Moskwa — dawniej niepozorna, o głębokości około 1,2 m, na znacznym odcinku w ogóle znikła, a na jej miejscu powstała nowoczesna magistrala, po której pływają mogą statki o zagłębieniu 3,65 m i ładowności do 5 tys. ton. Zresztą cały system rzeki Moskwy oraz Wołga, Oka i północna trasa wodna ze stolicy do Leningradu mają już tę samą głębokość.

Dzięki kanałowi całkowicie też pokryto — ze znaczną rezerwą — za potrzebowanie rozbudowującej się stolicy na wodę. Od chwili przekazania kanału do eksploatacji moskiewskie wodociągi otrzymały z Wołgi tą trasą ponad 21 miliardów m³ wody.

Woda dla miasta, zbiorniki — 7 sztucznych jezior, które powstały przy kanale i są wykorzystywane, jako ośrodki sportowo-wypoczynkowe, „ręczne tramwaje” kursujące po stolicy z regularnością Metra, transport milionów ton towarów oraz przewozy pasażerskie — blisko 10 mln. osób rocznie — na trasach nawet tak odległych, jak do Ufy, Astrachania czy Permu, to wszystko rezultat realizacji Portu Pięciu Mózg.

Obecnie przez system uregulowanych rzek i nowych kanałów Moskwa ma wodne połączenia z Bałtykiem, Morzem Białym, Czarnym, Kaspijskim i Azowskim.

A już wkrótce trasy te dostępne będą nie tylko dla „Rakiet”, „Metyorów” czy innych rzecznych jednostek pasażerskich i towarowych.

Trwa bowiem obecnie w gorkowskiej stocznicy budowa pierwszej serii statków rzeczno-morskich. Pierwszy typ, to jednostki o nośności około 2700 ton — czyli mniej więcej takie, jak nasz pełnomorski rudowłowiec SS „Soldek”. Projektuje się także następny typ — dwukrotnie większy.

Niedaleki jest więc dzień, kiedy wprost do Moskwy zawijać będą mogły statki płynące z dalekomorskich portów.

Wakacyjne odkrywanie Polski

JERZY KUŁTUNIAK

W armia i Mazury, Pomorze, Ziemia Lubuska, Śląsk — nie tylko walory turystyczne tych regionów przyciągają tutaj ludzi. Miliony indywidualnych powiązań — pokrewieństwo, zawarte znajomości, przyjaźnie, decydują o tym, że dla coraz większej liczby osób w Polsce zasłyszane w radio czy przeczytane w prasie sformułowanie „ziemie zachodnie i północne” wywołują w pamięci przypomnienie oglądanych tam krajobrazów, zwiedzanych miast, spotkań ludzi. Z punktu widzenia socjologicznego kierunku owych „wakacyjnych wędrówek ludów” to nie tylko zjawisko związane z rekreacją sił społeczeństwa, to również potwierdzenie i ugruntowanie integracji ziem nadodrzańskich i nadbałtyckich z resztą obszaru naszego kraju, integracji obejmującej tu również owe miliony indywidualnych kontaktów.

Znajomość tych ziem stanowi bardzo istotny moment w społecznej edukacji przeciętnego obywatela naszego kraju. Następuje wtedy bowiem konfrontacja rzeczywistości z posiadanymi wiadomościami o odbudowie i rozbudowie tych ziem, poznanie ich piękna, wykształcenie emocjonalnego stosunku do nich. Szczególnie jednak liczą się osobiste kontakty z mieszkańcami i pracującymi tu ludźmi, obserwacja zwykłej codzienności, zauważanie jej podobieństwa do życia we własnym środowisku. Jeśli mówimy, że procesy integracji między ziemiami zachodnimi, a tzw. obszarami dawnymi dokonywały się już w pełni na płaszczyźnie politycznej, gospodarczej, społecznej, natomiast obserwujemy — co dla socjologa i psychologa jest zresztą w pełni zrozumiałe — pewne opóźnienie tego procesu w dziedzinie świadomości społecznej, to moment uprzytomnienia sobie tego podobieństwa jest niezwykle istotny dla przyspieszenia dojrzewania owej świadomości.

Ileokroć dyskutuję z kimś, czy pisać o tym zagadnieniu, przypominam mi się rozmowa z młodym inżynierem, który wybrał się na spływ kajakiowy po Odrze. „Czy uwierzył pan — zwierzał się po powrocie — że było to dla mnie nie tylko turystyczne przeżycie? Nie znalazłem zupełnie Odry, ani ziem leżących po jej brzegach. Do dziś jestem pod wrażeniem piękna krajobrazu. Ale wie pan co najbardziej zapamiętałem? Zwyczajność tej rzeki; rzeki, w której ludzie się kąpią, po której płyną barki, na brzegach której pasą się krowy, rzeki, która jest podobna do wielu innych rzek w Polsce. Rzecz jasna, to wszystko wiedziałem i dawniej, ale uprzednio zawsze słowo Odra wiązało się

u mnie ze skojarzeniem natury historycznej, czy politycznej, treści sformułowań o Odrze, jako rzece granicznej. Teraz obok racjonalnych skojarzeń pojawiły się także bardzo emocjonalne”. Inżynier liczył lat trzydzieści i bynajmniej nie był — jak się to popularnie mówi — „romantikiem”. Urzekł go po prostu fakt „odkrycia” Odry, jako zwykłej rzeki, pięknego elementu krajobrazu Polski.

Co roku, od lat, dziesiątki, setki tysięcy, miliony turystów i wczasowiczów przybywających z różnych zakątków kraju na Warmię i Mazury, Pomorze, Ziemię Lubuską i Śląsk, dokonują takich odkryć. Żadne ankiety socjologiczne, dziennikarskie wywiady, relacje samych uczestników nie są w stanie ująć tego zjawiska. Ale jest to konkretna wartość społeczna przejawiająca się chociażby w fakcie zwiększającego się z roku na rok zainteresowania, nawet wśród mieszkańców województw położonych w centrum i na południu kraju, literaturą poświęconą problematyce tych ziem.

W tych osobistych spotkaniach z tymi ziemiami kwii jeszcze jedna szansa: przekonania się na własne oczy o oszczędnościach, dyktowanych bezzilną wściekłością, a wypisywanych w rewizjonistycznej prasie zachodniomiejscowej na temat naszych ziem zachodnich i północnych. Nie wiem ilu wczasowiczów i turystów przewinie się w roku bieżącym przez Kołobrzeg, ale przy puszczać, że będzie ich kilkadziesiąt tysięcy. Będą oni mieli pełną możność przymierzenia do rzeczywistości bredni wypisywanych na temat tego miasta przez „Deutsche Zeitung”, a głoszących, że wśród gruzów żyje w Kołobrzegu zaledwie 13 tysięcy mieszkańców, że na bu-

downictwo mieszkaniowe otrzymało miasto... 9,5 miliona złotych, że istnieje zakaz opuszczania miasta przez mieszkańców itp. itp. I pomyśleć, że tego rodzaju bzdury wypisuje się o mieście, które mimo zniszczeń wojennych sięgających 85 proc. budynków w mieście, liczy dziś 21 tys. stałych mieszkańców, w którym od czterech lat, na samo budownictwo mieszkaniowe, nie licząc olbrzymich inwestycji na uzdrowiska, budownictwo komunalne itp., przeznaczano się co roku 120 mln. zł., o mieście, które zostało objęte specjalną uchwałą Rady o odbudowie. Efekty tych faktów widać już przy pierwszym zetknięciu się z tym miastem. Zobaczycie w bieżącym roku owe kilkadziesiąt tysięcy wczasowiczów z całej Polski. Turystyczny przyczynik do politycznych refleksji.

Ale nie tylko do refleksji dla nas, Polaków odpoczywających po całorocznej, trudnej pracy, na którejś z plaży naszego ponad pięćsetkilometrowego Wybrzeża, nad jednym z mazurskich jezior, w uroczych zakątkach Ziemi Lubuskiej czy w Sudetach. Podobnie jak w latach ubiegłych, tak i w tym roku zwiedza nasz kraj wielotysięczna rzesza turystów zagranicznych. Jest wśród nich wielu ludzi przygnanych tu ciekawością dowiedzenia się jak pracujemy, jak żyjemy. Szlaki ich wędrówek wiedzą także przez ziemie nadodrzańskie i nadbałtyckie. Pokazujemy naszym gościom Polskę na co dzień, w której wszystko, co dobre, bierze się z ciężkiej pracy całego narodu, pokazujemy im Polskę zjednoczoną na zawsze w etnicznych granicach między Odrą i Bugiem.

Dla wielu z nich te, osobiste spotkania z naszym krajem stanowią będą również odkrycia.

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Z przekładów

Zacznę od nowej pozycji świetnej serii PIW-u, „Z jednorożcem”. Ukazało się tam opowiadanie Pär Lagerkvista „Gość w rzeczywistości”. Wybitny pisarz szwedzki w utworze tym bardzo realistycznie uwypuklił szereg momentów autobiograficznych, bunt młodego chłopca przeciw tęchławej atmosferze ukochanego domu rodzinnego, podłoże przyszłych nieustannych konfliktów, nawracających pytań o sensie życia.

„Ossolineum” wydało w ramach „Biblioteki Narodowej” wybór „Opowieści Kanterberyjskich” Geoffrey Chaucera w dobrym przekładzie Heleny Pręcowskiej i ze

świetnym wstępem Małgorzaty Schlauch. Chaucer to najwybitniejszy poeta angielski wieku XIV, znawca wszystkiego, co najlepsze w kulturze średniowiecznej, ale już podatny na wczesne pierwioski włoskiego renesansu. Dyplomata, podróżnik, dobrze znał współczesny sobie świat i stąd jego wiersze to nie tylko sprawa urody literackiej, ale i przyczynek do studium epoki. Lekturę ułatwiają doskonałe komentarze Witolda Chwałewika.

Jest duża zastręga „Czytelnika”, że doprowadził do wydania świetnej powieści pisarza amerykańskiego Thomasa Wolfe „Spójrz ku domowi, aniele”. Faulkner stawia Wolfe’go na pierwszym miejscu wśród pisarzy amerykańskich, może dlatego, że podobnie jak on sam, Wolfe stawiał sobie za cel opisać Amerykę taką, jaka się mieści w granicach doświadczeń jednego człowieka. Żal, że pisarz odszedł tak młodo i dzieła swojego nie mógł dokończyć. Ale i pozostała spuścizna świadczy o olbrzymim

talencie, wspaniałej obserwacji, frapującej pamięci. Z tych elementów uzupełnionych talentem rodzi się prezentowana powieść, nieco chaotyczna, z niedbałą konstrukcją a przecież frapująca, zaskakująca, odświeżająca niejedno zupełnie nowe. Pełniejszy barw nabiera Ameryka w świetle tego dzieła, staje się bardziej zrozumiała w przemierzaniu w niej zła i dobra w najdziwniejszych proporcjach. Ameryka i jej ludzie, których Wolfe potrafi ukazać w psychologicznie skonstruowany sposób. Świetna książka, choć chwilami zarazem nieco nużąca. Widocznie w niczym nawet w doznawaniu odczuć estetycznych, nie może być pełni.

Do frapujących, mało znanych kart z problematyki wojennej wprowadza nas Jan de Hartog w powieści „Mary” („Czytelnik”), będącej literackim ukazaniem dziejów ho-

lownika płynącego w konwoju angielskim na trasie Reykjavik, Murmańsk, Montreal. Rzadko kiedy można się spotkać z ukazaniem przez dramat wydarzeń, psychologicznych odczuć ludzkich takich, jak strach i odwaga, jak poczucie samotności i odradzanie się przez pełnię zrozumienia istoty braterstwa żołnierzy.

Rzadko trafiają do nas przekłady z literatury rumuńskiej, tym więcej cenić trzeba zasługę PIW-u, który przekazał czytelnikom powieść Camila Petrescu „Ostatnia noc miłości, pierwsza noc wojny”, stanowiącą jeden z najciekawszych i najmocniejszych literackich protestów przeciwko wojnie. I nieważne jest, że za to tego protestu autor obiera wydarzenia I wojny światowej, chodzi o jakiś wielki humanistyczny bunt, o jego siłę i prawdziwość. Powieść Petrescu nie należy do najłatwiejszych, trudna jest jej warstwa psychologiczna, ale korzyści tej lektury przeważają wszelkie braki.

Dwa filmy — dwie postawy

Dokończenie ze str. 1

podobnego, jak w stosunkach między ludźmi: jeżeli spojrzeć na nich z miłością, to nawet najbrzydsi zyskują na urodzie. Obok froskliwie komponowanych zdjęć Andrzeja Strzeleckiego istnieją w „Mojej ulicy” drugi ważny komponent nastroju, mianowicie niezwykle prosta i subtelna muzyka Józefa Skrzypczaka, wykonywana na ustnej harmonijce. Szkoda tylko, że realizatorzy nie podarowali sobie dość tanglej deklamacji pięknego skądinąd wiersza Zbigniewa Herberta: to pre-

tensjonalne gaworzenie psuje nieco wewnętrzną czystość i mąci stylizowaną jednorodność filmu.

Spotykalem już przeróżne opisy naszego miasta, ale żaden z nich nie wywarł na mnie takiego wrażenia, jak właśnie „Moja ulica” Strzeleckiego i Skrzypczaka. Jeżeli być może za lat kilkadziesiąt obejrzy ktoś ten film, to w ciągu kilkunastu minut dozna wielkiej radości, a także dowie się dwu ważnych rzeczy: jak wyglądała w roku 1962 jedna z ulic Poznania oraz — co ważniejsze — że w tym samym czasie żyli tu ludzie, którzy swoje miasto bardzo kochali i uważali je za najpiękniejsze ze wszystkich miast na świecie.

KAZIMIERZ MLYNARZ

ALIMENTY I POMOC SPOŁECZNA

To tytuł programowego niejako artykułu w najnowszym numerze „Prawa i Życia”. Autor — Andrzej Zbroja — porusza sprawę egzekucji alimentów, które w wielu przypadkach trudne są do ściągnięcia nawet z prawomocnym wyrokiem sądowym. Dużo miejsca zajmuje omówienie działalności sekcji pomocy alimentacyjnej przy radach wojewódzkich Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej. PKPS zwrócił się z pismem do Ministra Sprawiedliwości.

„Uzyskana odpowiedź — czytamy w artykule — pozwala na optymizm. Okazuje się bowiem, że Ministerstwo dokonało wielu istotnych posunięć zmierzających do poprawy obecnej sytuacji, że wymienie tylko wzmocniony nadzór wizytatorów nad działalnością sądu, zwiększenie stanu etatowego komorników, bardzo wnikliwa kontrola ich pracy. Są ponadto obecnie w przygotowaniu wytyczne Sądu Najwyższego w sprawach alimentacyjnych, które niewątpliwie będą miały poważny wpływ na tok postępowania (...) Im poważniejsze są trudności, na jakie napotyka w swojej pracy sekcje pomocy alimentacyjnej, tym większa zasługa ludzi, którzy przychodzą z pomocą kobietom, znajdującym się w ciężkiej sytuacji, a nie umiejacym sobie poradzić”.

PROCES HANSA GLOBKEGO

W tym samym numerze „Prawa i Życia” całą kolumnę poświęcono relacji z procesu Globkego, który — jak już wiadomo — skazany został przez Sąd Najwyższy NRD na karę dożywotniego więzienia i pozbawienie obywatelskich praw honorowych do końca życia.

„Sąd Najwyższy stwierdził — czytamy — że Globke zawsze usiłował spełniać usługi wobec systemu faszystowskiego i wspierać jego agresywne cele. Przy (...) prześladowaniu i eksterminacji obywateli żydowskiego pochodzenia, jak również przy zbrodniach politycznych germanizacyjnej Globke nie był jedynie podporządkowany, lecz przez wykładnię ustaw i własne poczynania czynił je bardziej jeszcze surowymi. Przeciwdziałając się tezom obrony Sąd Najwyższy wskazał, że Globke musi być traktowany nie jako pomocnik, lecz jako współpracy w a c świadomie współdziałający w prześladowaniach Żydów i mordzie na narodach (...) U podstaw działalności Globkego tkwiły najniższe pobudki — faszystowska nienawiść rasowa i nienawiść (...) do narodów”.

DWA OBLICZA WESTERNU

Dwutygodnik literacki „Współczesność” w komentarzu pt. „Boski Marlon czyli dwa oblicza westernu” zastanawia się nad zjawiskiem niesłabnącej popularności tego gatunku filmowego. Autor twierdzi, że kilkunastolatki mogą chodzić na western po kilka razy i zawsze z jednakowym zainteresowaniem spoglądają na ekran, przyswajając sobie nawet sposób poruszania się bohaterów. Ale nie o to Hadrianowi chodzi. Prefektem dokomentarza jest ostatni

western z Marlonem Brando pt. „Dwa oblicza zemsty”, który autor zaliczył do szmiry.

„Marlon Brando zrewidował western przez „odwrócenie”. Dawniej szeryf był charakterem białym; bandyta — czarnym. Zrobimy inaczej: postawimy przeżyty schemat na głowie; trę dno byłoby z bandyty uczynić anioła, ale bandyta może być człowiekiem sympatycznym, z tzw. odruchami ludzkimi; kanalia do szpiku kości zdeprawowana okazuje się szeryf”.

Zaliczenie westernu „Dwa oblicza zemsty” do szmiry jest chyba trochę pochopne. Oglądaliśmy ten film i — przyznać trzeba — że daje widzowi coś do myślenia. Jak na western to już i tak dużo.

DZIECKO PRZED SĄDEM

Na łamach „Faktów i Myśli” Urszula Łączkowska publikuje reportaż pt. „Przed sądem”, poświęcony przestępkości nieletnich. Autorka omawia środki wychowawcze pozostające do dyspozycji sądu: oddanie pod dozór odpowiedzialny rodziców, oddanie pod dozór kuratora sądowego, dom wychowawczy lub zakład poprawczy; stwierdza, że te środki budzą wiele wątpliwości.

„W całym kraju pracuje zaledwie 123 kuratorów sądowych zajmujących się zawodowo i etatowo tym zagadnieniem. Wszyscy pozostali — a jest ich w kraju 3 000, powoływani są na zasadach honorowego obowiązku społecznego. Otracają oni opiekę 20 000 dzieci, które zostały skazane przez sąd. Są to ludzie bardzo zani, o dużym ładunku dobrej woli, ale nie zawsze w dostateczny sposób przygotowani do spełniania funkcji, którą im się powierzono”.

Te i inne mankamenty postępowania z nieletnimi w jakiś sposób może usunąć, ale — nie bądźmy optymistami — tylko częściowo, nowa ustawa o trybie postępowania z nieletnimi, która niebawem wejdzie pod obrady Sejmu.

ROLNICTWO — PUNKT NEURALGICZNY

Na łamach „Polityki” Józef Śmiełowski rozmawia z przewodniczącym Komisji Sejmowej Rolnictwa i Przemysłu Spożywczego Tomaszem Malinowskim. W rozmowie, zażyłowanej „Rolnictwo: neuralgiczny punkt gospodarki”, porusza się aktualne tematy tego bardzo ważnego działu naszej gospodarki. Oto fragment wypowiedzi T. Malinowskiego o nawozach mineralnych:

„Od lat mówi się o potrzebie wapnowania gleby (...) Jednakże z realizacją nie jest najlepiej. Rolnictwo nie dostaje przewidzianej ilości wapna (...) Albo problem wody amoniakalnej (...) Na całym świecie rośnie zużycie tego typu chemikaliów (...) Jednakże potrzebne są urządzenia do rozpryskiwania wody amoniakalnej (...) Konieczne są również specjalne cysterny do przewożenia amoniaku z zakładu na wieś (...) Chemia gotowa jest dostarczyć amoniak w stanie płynnym, ale sprawą transportu powinien się zająć (...) resort rolnictwa”.

W wywiadzie mówi się o realizacji uchwał XII Plenum KC, o pracy Komisji Sejmowej, o takich zadaniach jak: urządzenia komunalne na wsi, studnie, wodociągi, łaźnie, przedszkola. Ponieważ rolnictwo stało się oczkiem w głowie nawet zaawansowanych mieszczuchów, radzimy przeczytać ten wywiad.

LEKTOR